

Feliks Łańcucki

Wiersze zebrane

Warszawa 2019

Wczesna wiosna

Na żarkich strunach słońca wiatr rozpiął
wartkie skrzydła,
Trzepocą myśli moje jak ptaki schwymane w sidła.

Skłębione chmury płyną. Niebo wysokie, bławe,
Surowo pachnie ziemia. Smugi świetlisto-rdzawe.

Dzieci idą do parku. W rękach niosą obręcze.
Tak mnie wiosna osłabia i jasność tak męczy.

Nim powrócę do domu, twarz ku ziemi pochylę,
I rysuję widziane dawno kiedyś profile.

Jabłoń

Jak młodo mi i gibko, zielono i błękitnie,
Szeroko i bezstronnie – tak ręce wiele warte,
Że ciało me drzewieje, sokami bucha, kwitnie,
Korzeniem w ziemię wryte, gałęziami
w niebo wsparte.

W korzeniach wieją wiatry, w gałęziach perlą ptaki,
Żywica tryska z kory, dojrzała nieba słoneczność –
A tu już jabłka płoną; tajemny, wieloraki
Obrzęd owocowania i bujna długowieczność.

Dusza

Wiosenną, gwiezdną, cichą nocą
Błękitne gwiazdy drżą, migocą –
Welon mgieł siwych serce smęci
I błogostawią nocy święci.
Gdy w bladym kwiecie rąk anielich
Kryształnej ciszy sptywa kielich,
A ziemię cichy sen upaja –
Dusza na prochu gwiazd, rozstajach –
Ma dusza drżąca i stargana –
Niemą modlitwą rozśpiewana
W zorzach północnych – w zgasłych słońcach
Szuka oblicza Boga Ojca...

Akwarela

Drgającymi plamami – w srebrnej sieci pająka –
Płowozłotym zacichem dojrzałego żyta –
Sennym błękitem wody zastygłej na łąkach –
Półtonami – leniwie – spod mych palców wykwasz.

W brzozowo-szmernej ciszy wiolinnych zapleceń
Wilgotny aksamit liści – wkołyszanych uśnień –
Za mało jest kolorów i światła w palecie,
By miękką plamą rzucić jedwabisty plusk – uśmiech.

Przed burzą

Przeptynęły przez twarz obłoki
– Twarz zatapia się w bujnej trawie –
Wiatr błękitny i wiatr wysoki
Lśni srebrną łuską na stawie.

Niebo – kielich kwiatu wonnego –
Krople miodu słoneczne sączy
W trawami zarosłe u brzegu
I sitowiem rzęs – jasne oczy.

Od płynnego złota nadmiaru
Zmniejszają się wolno źrenice –
Nenufarów liście – powieki
Zakrywają dwie tajemnice.

Wtedy wielkie, wielkie znużenie,
Cisza groźny niepokój wróży,
A jaskótek strwożonych cienie
Wylatują naprzeciw burzy.

Serce jak ryba w jeziorze
Gwałtownie w piersi się rzuca –
Zawsze sercu za mało ciszy
I oddechu za mało płucom.

Prośba do lasu

Lesie jodłowy, ku niebu wybuchasz prosto –
Daj nam wysmukłą bujność i siłę wzrostu.

Chmury puszyście skłębione w czubach odmieniasz –
Spowij nas w liści zieleni i błękit cienia.

Niebo o zmierzchu nurzasz w blaskach szkarłatu –
Podaj profilom naszym bujny pęd wiatru.

Gdy dusze nocą bezgwiezdną odpłyną w góry
Daj ciałom drzewa surowość – nie kruchość wiórów.

• • •

Księżyc błyszczy w gotyckim nieba ostrołuku
I wysrebrza topole – strzeliste kolumny;
W kamiennym sarkofagu pod pokrywą trumny
Śpi Wódz spowity w popiół zbutwiałych buńczuków.

Wśród bębnow gromkich bicia, pośród armat huku
Nie podniesie przyłbicy ciężkiej – rycerz dumny,
Twardy jest spokój śmierci. Już bojowe surmy
Nie wywiodą uśpionych chorągwianych pułków.

Tylko w noc tę Poeta w czarnej pelerynie
Drapowanej patosem przez podwórzec płynie,
Gdzie kościelnych krużganków czernieją arkady –

W samotności natchnienia przesiewa przez palce
Perlister gwiazdy – ziarna bożego różańca
I o Słowo się modli milczący i blady.